Nr. 47. We Lwowie dnia 25. listopada 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Shelley.

Zamierzam naszkicować jedną z najpotężniejszych postaci naszego wieku, występującą na jego tle, tak bogatem w wypadki i w wielkie osobistości, w całej plastyce wyobraźni poetyckiej, niesłychanie głębokiego uczucia i umysłu, którego promienie, czerpiące swą siłę ze źródła wiedzy, ogarniały wszechświat, starając się wniknąć w najtajniejsze jego zagadki.

Nie ma kwestji szerszego znaczenia, naukowej, czy religijnej, politycznej, czy społecznej, ażeby nie odbijała się w źwierciedle ducha Shelley'a, w najwspanialszą zaklętego poezję, o jakiej dzisiaj ani zwolennicy zbyt jednostronnego materjalizmu, ani bezpłciowością nawiedzeni dekadenci zamarzyć nawet nie mogą.

Duch ten, jak sam obrazowo powiada o sobie —

»dziecięciem karmił się mlekiem srebrzystych
Snów i fantazji; widokiem ogromów
Ziemskiego kręgu i sfery powietrznej
Nastrajał serce, by na pieśń ich wielką
Odbrzmiało echem; spragnionemi usty
Czerpał ze źródlisk boskiej filozofji:
Wszystko, co wielkie, piękne i szlachetne;
Wszystko, cokolwiek w poezji lub życiu
Jaśniało blaskiem świętości, on odczuł
i wiedział wszystko. Gdy wyrósł w młodzieńca,
Porzucił zimne ognisko i łany
Rzucił rodzinne, albowiem już obcą
Stała mu ziemia się własna, i w kraje
Pobiegł nieznane, by gonić za dziwnym
Prawdy obrazem«.

Przyjaciel Byrona nie wiele u nas jest znany, pomimo, że od śmierci jego upływa lat siedmdziesiąt. Małe zaledwie grono ludzi prawdziwie wykształconych lubuje się w potężnych hymnach twórcy Alastora, mającego dla nas jeszcze specjalniejsze znaczenie — mianowicie ze względu na wpływ, jaki wywarł na Juljusza Słowackiego.

Nie ulega, zdaje mi się, wątpliwości, że Słowacki pisał cudowny swój poemat »W Szwajcarji« pod wrażeniem »Epipsychidjona« i »Alastora«.

Shelley'a zaliczyć należy do kategorji tych genjuszów, którzy swoich współczesnych prześcigają o całe lat dziesiątki: człowiek, który za życia swego sprzedał nie więcej nad dziesięć egzemplarzy swych dzieł, stał się dzisiaj bożyszczem nietylko swojego narodu, ale całego ucywilizowanego świata. Potrzeba było na to pół wieku, ażeby na miejsce byronizmu, który należy już do historji, zapanował w literaturze szelleizm: nie ma dzisiaj w Europie większego poety, któryby się nie był przejął duchem autora »Prometeusza rozpętanego«, któryby, jak on, nie snuł marzeń o nowym, sprawiedliwszym porządku rzeczy, któryby jak on, nie nucił psalmu nadziei, któryby, jak on, nie podnosił hymnu ogarniającej wszystko i wszystkich prawdziwie seraficznej miłości.

Przedewszystkiem cała najnowsza literatura angielska przejęta jest duchem Shelley'a: wielcy poeci Albionu: Robert Browning i żona jego Elżbieta Barret, Karol Algernon Swinburne znajdują się pod czarodziejskiem jego berłem.

I z tych też przyczyn warto zapoznać szerszą naszą publiczność z tą wysoce charakterystyczną postacią.

Rzecz prosta, że obraz ten nie może być wyczerpujący: aby dać mniej lub więcej dokładne studjum o człowieku tej miary, na to nie wystarczą ramy popularnego artykułu.

Zresztą wzmianką swoją pragnąłbym tylko pobudzić szanownych czytelników do zajęcia się ze wszech miar godnym uwagi poetą.

Percy Bysshe Shelley, największy liryk angielski, urodził się 4. sierpnia 1792 r. w Fieldplace, w hrabstwie Sussex.

Ojciec jego, baron Tymoteusz Shelley, był człowiekiem najzwyklejszym w świecie, ortodoksą i wielbicielem torysowskiej polityki ówczesnego premiera Castlereagha.

Całą swą moralność opierał na pozorach, a charakterystyczną zasady tej ilustracją były jego własne, bardzo często powtarzane słowa, że nigdyby na to nie pozwolił, aby syn popełnił mezaljans, atoli gotów jest utrzymywać z własnej kieszeni choćby największą ilość nieprawych jego dzieci.

Również i matka, prócz niezwykłej piękności, ogłady towarzyskiej i łagodnego usposobienia, nie miała w sobie nic takiego, coby ją podnosiło ponad tuzinkową pospolitość.

Można zatem śmiało powiedzieć, że Percy nie odziedziczył po rodzicach żadnego rysu charakteru, natomiast spotykamy w nim dużo cech, właściwych jego dziadowi.

Oryginalny to był człowiek, energiczny, gwałtowny, awanturniczy. W młodym bardzo wieku, opuściwszy Anglję, udał się do Ameryki, gdzie na wyrabianiu mastyk sporego dorobił się majątku.

Za powrotem do ojczyzny, bogactwa swoje przez szczęśliwe spekulacje, głównie zaś przez podwójny ożenek, do olbrzymich stosunkowo powiększył rozmiarów: pozostawił synowi 300.000 funtów gotówki, to znaczy 3 miljony złotych, i dobra, które dawały 20.000 funtów rocznego do chodu.

Obie żony wykradł; serca ich zdobył sobie galanterją i przyjemną powierzchownością. Opowiadają nawet, że w Ameryce trzecią miał żonę, którą był porzucił i o której los nigdy się nie troszczył.

Fakta te przytaczam dlatego, ponieważ ilustrują charakter, pokrewny wielkiemu poecie.

Wnuk ten popędliwego starca, który przy swej oryginalności miał jeszcze opinję ateusza, pierwsze swe lata przepędził w majątku rodzinnym, w Fieldplace. Bardzo wcześnie zaczęła się w nim rozbudzać chęć poetyzowania; w ósmym roku życia napisał »wiersze do kota«, które w niczem — nie mówiąc o muzykalnym rytmie — nie zaznaczyły jeszcze kierunku Shelleyowskiej fantazji; przeciwnie, zdradzając nadzwyczajną znajomość stosunków realnych, zdawały się zapowiadać wprost odmienną drogę, aniżeli ta którą poszedł później największy z idealistów. Równocześnie jęły się w nim objawiać te rysy, które go już nigdy nie opuściły, które głębokie, charakterystyczne wywarły piętno zarówno na poecie, jak i na człowieku, mianowicie pociąg do marzycielstwa, niezwykłą wrażliwość i nerwowość. Zarówno w szkole w Eton jak i później, na wszechnicy oksfordzkiej, dostarczyło mu życie dosyć materjału, ażeby znamienne cechy te rosły, potęgowały się, ażeby go zrobiły tem, czem był: idealistycznym filozofem, zapalonym głosicielem religji miłości, namiętnym reformatorem społecznym, nieubłaganym biczem Bożym na wszelki ucisk i na wszelką obłudę.

(C. d. n.). *Jan Kasprowicz.*

Ornamenty ruskie.

Od czasu monumentalnego wydawnictwa Wzorów przemysłu domowego włościan na Rusi, podjętego ongiś z wielkim nakładem przez miejskie biuro przemysłowe we Lwowie, szerokie koła publiczności zwróciły uwagę na te wyroby prastarej sztuki. Najlepszym dowodem zaciekawienia publiczności jest to, że niektóre zeszyty owego wydawnictwa wkrótce po ich opublikowaniu zostały wyczerpane. Że w 10 zeszytach swego wydawnictwa nie zostało wyczerpane całe bogactwo ludowej ornamentyki ruskiej, o tem chyba i wspominać nie trzeba; dość powiedzieć, że w wydawnictwie owem główna część materjałów zebraną była z Huculszczyzny i Pokucia, a z innych powiatów tylko niektóre miejscowości były w bardzo małym rozmiarze uwzględnione. Dopiero obecnie, prawie w 10 lat po przerwaniu owego wydawnictwa, możemy zaznaczyć ukazanie się nowego zbioru ornamentów ruskich, wydanego staraniem towarzystwa »Klub Rusinek we Lwowie«, nakładem pp. Chojnackiego księgarza i Andrejczyna, litografa we Lwowie. Zeszyt niniejszy, który oby był pierwszym w szeregu dalszych, składa się z 20 tablic chromolitograficznych, umieszczonych w gustownie wykonanej mapce, ozdobionej pięknym rysunkiem tytułowym. Z tych 20 tablic dwie służą wyłącznie dla celu przemysłowego, przedstawiając wzory haftów, wzięte na krzyżyki, 18 zaś zawiera hafty wykonane na kratkach linjowych w jednym, dwóch, trzech lub czterech kolorach.

By dać wyobrażenie o zawartości obecnego wydawnictwa, przytoczymy, że zawiera ono same tylko hafty i wyszywania, a to z powiatów borszczowskiego, podhajeckiego, tłumackiego, śniatyńskiego, horodeńskiego, nadwórniańskiego i kałuskiego; jak widzimy, znajdują się tu i takie powiaty, które w wydawnictwie muzeum przemysłowego wcale nie były dotknięte. Rozpatrzmy się nieco szczegółowiej w materjale świeżo opu-

blikowanym. Ogólnie rzecz biorąc, nie podaje ono niczego takiego, coby zmieniało wyrobione dotychczas zdanie o charakterze tego rodzaju ornamentyki ruskiej. Są tu zawsze te same figury geometyczne, te same stylizowane liście i kwiaty, które przywykliśmy napotykać we zbiorach utworów małoruskiego hafciarstwa ludowego. A jednak jakie tu bogactwo kombinacji, jaka różnorodność szczegółów, jaki smak w grupowaniu motywów i w dobieraniu kolorów! Jeszcze jedną uwagę nasuwają wzory, umieszczone w zbiorze obecnym: oto pomimo zasadniczej jednolitości techniki i pojmowania ornamentacji, pojedyńcze powiaty wykazują znaczne, uderzające różnice pod względem bogactwa wzorów, smaku i swobody kombinowania, różnorodności i harmonji kolorów. Widzimy powiaty o uboższej, primitywniejszej ornamentyce; widzimy inne, gdzie takowa jest bogatszą, ale ma charakter jakiś sztywny, ociężały; widzimy wreszcie i takie, gdzie czuć technicznie jakiegoś świeżego ducha, początki twórczości artystycznej wyższego zakroju.

Najbardziej zachodni z pomiędzy powiatów, objętych zbiorem niniejszym, pow. kałuski, prezentuje się na dwóch tablicach 25 wzorami. Z wyjątkiem jednej serwety czy też chustki ślubnej wszystkie inne są wzorami wyszywań mankietów, kołnierzy lub wstawek koszul męskich lub kobiecych. Ornamentacja tu najbardziej pierwotna: krzyż równoramienny, stojący lub ukośny, kwadrat, wyjątkowo utworzony z niego sześciokąt, gwiazdki, utworzone z kwadracików lub też esy albo sploty również na osnowie kwadratu skoncypowane — oto wszystko. Co do kolorów to przeważna część wzorów wykonaną jest w jednym kolorze — czerwonym, który kombinuje się tylko z białem tłem płótna. Tylko w dwóch rysunkach, w tej liczbie i we wzmiankowanej już chustce, występuje rzadko kolor niebieski.

Szkoda, że powiat kałuskip ozostał w zbiorze niniejszym jak jakaś wyspa; nie mamy ornamentów z powiatów bezpośrednio z nim sąsiadujących. Najbliższy pod względem geograficznym pow. nadwórniański okazuje ogromne różnice w porównaniu z kałuskim. Przedewszystkiem powiat ten zastąpiony jest w zbiorze bardzo bogato: na czterech tablicach dano 53 rysunków: kołnierzy, wstawek, mankietów, krawędzi ręczników i chustek. Zarówno rysunki, jak i kolory okazują tu wielką różnorodność. Obok panującego koloru czerwonego występuje silnie kolor niebieski, równie silnie czarny, a oprócz tych zielony i żółty — ten ostatni w rozmiarach bardzo skromnych i nie przekraczających granic dobrego smaku. Jeden rysunek wykonany jest w ten sposób, że tło wypełnione jest czarną włóczką, a ornamenty pozostawiono białe; w kilku innych na tle czarnem ornament czerwony, a w kilku innych obok tego pozostawiono jeszcze ornamenciki białe. Bardzo efektowne są dwa ręczniki o tle wypełnionem kolorami, czerwonym i zielonym z rysunkami na temże tle czarnymi, białymi i żółtymi. Pod względem rysunku mamy całe grupy zupełnie zbliżone do rysunków kałuskich, ale są też rysunki, gdzie widać jakąś awersję do kwadratu, a natomiast widać jakieś słabe rozmachy do realistycznego traktowania liści itp.

Pow. tłumacki — może tylko przypadkowo — przedstawia znowu pewien regres pod względem bogactwa rysunków i kolorów. Może przypadkowo, bo dano nam z tego powiatu na dwóch tablicach tylko 30 rysunków. W 9 z nich panuje znowu niepodzielnie kolor czerwony, w 13 kolor ten kombinuje się z czarnym i białem tłem, a tylko w 7 kolor czerwony kombinuje się z niebieskim. Obok krzyża, kwadratu i gwiazdek skombinowanych z kwadratów i trójkątów równobocznych mamy tu z jednej strony ornamenty najprostsze — linje łamane, a z drugiej — próby stylizowanych listków koniczyny.

Tego samego rodzaju ornamentyka nieskomplikowana i uboga w kolory panuje i w pow. podhajeckim, o ile sądzić można z 10 rysunków, umieszczonych na jednej tablicy. Koloru niebieskiego niemasz tu wcale; kombinuje się tylko czerwony i czarny z białem tłem płótna, zazwyczaj jednak tak, że tło ornamentu jest czerwone, a na niem występują wzorki czarne i białe. Figurą panującą jest kwadrat i trójkąt równoboczny; w gwiazdkach występuje też romb lub sześciokąt spłaszczony (kwadrat z dodanymi po obu bokach trójkątami równobocznymi).

Najbardziej zajmujące w całym zbiorku i najcenniejsze pod względem etnograficznym i artystycznym są wzory z powiatów borszczowskiego, horodeńskiego i śniatyńskiego; porządek, w jakimeśmy je postawili, oznacza też stopniowanie co do ich wartości. Pow. borszczowski zastąpiony dwiema tablicami mieszczącemi 14 rysunków, odznacza się wybitnem zamiłowaniem do pstrokacizny kolorów. Hafty tu duże, szerokie, sztywne; panującem wrażeniem jest zamiłowanie w czarnem tle, na którem nie bardzo gustownie odbijają drobne białe, żółte i amarantowe wzorki — zazwyczaj bardzo pierwotne gwiazdki lub kwadraty z cienkich linji; charakterystycznem też tu jest zamiłowanie do koloru żółtego, który gdzieindziej występuje tylko wyjątkowo, tutaj zaś ukazuje się w kombinacjach nie tylko z białym i czarnym, a nawet z zielonym, co nie wysokie daje wyobrażenie o artystycznym smaku hafciarek tamtejszych. Kolor czerwony występuje tu w kilku odmianach; również i kolor niebieski mamy tu w odcieniu daleko ciemniejszym, niż gdzieindziej. Mimo to wszystko niepodobna odmówić wzorom borszczowskim pewnej efektowności, a ich charakter przeważnie ciemny czyni je dla etnografa bardzo zajmującemi.

Wzory z pow. horodeńskiego, których mamy 30 na czterech tablicach, mimo że poniekąd

zbliżają się do borszczowskich (zwłaszcza tab. 12), przecież ogółem robią wrażenie swobodniejsze i mniej ponure. I tutaj dominuje kolor czerwony w kilku odcieniach; kolor ten często wypełnia tutaj tło rysunku, czarny nigdy. Kolor żółty lubiany jest również, ale nie występuje tak jaskrawo i rażąco jak w borszczowskiem. Rysunek daleko swobodniejszy; obok figur geometrycznych mamy tu próby rysunku swobodniejszego, liście, figury nieregularne bardzo gustownie kombinowane. Pojedyncze wzory mają i po 5—6 kolorów, a przecież wrażenia pstrokacizny nie odnosi się nigdzie.

Hafty śniatyńskie są najpiękniejszą ozdobą zbiorku. Mamy ich 31 na trzech tablicach, ale rozpatrzywszy się w nich żałujemy bardzo, że nie dano ich dwa lub trzy razy tyle; takie tu bogactwo motywów, taka harmonijność i różnorodność kolorów, taka swoboda we władaniu ornamentem ludowym. Porywów do realistycznego odtwarzania przedmiotów rzeczywistych tu mniej, niż gdzieindziej, ale co może stworzyć mistrzowska ręka z ornamentu geometrycznego i figuralnego, tutaj okazuje się najjaśniej. I co najważniejsza, niemasz tutaj tego przeładowania i tej sztywności, którą grzeszą często ornamenty borszczowskie, a po troszę i horodeńskie; ornament lekki, przejrzysty i pięknie wykonany.

Wydawnictwo »Klubu Rusinek we Lwowie«, przynosi zaszczyt temu towarzystwu i korzyść nauce, godnem przeto jest poparcia. Cena albumu niniejszego 2 złr. 60 ct. Od nowego roku cena będzie podwyższona na 3 złr. 30 ct., co zawsze jeszcze jest tanio w porównaniu z innemi wydaniami tego rodzaju. *Dr. Iwan Franko.*

Nieboszczka Barbara,

przez

Karolinę Świetlę.

(Ciąg dalszy).

Każdy, kto ich mijał i widział tak sobą zajętych, tak bez pamięci zagadanych, przystawał, zapytując:

— A kiedyż to, dobrzy ludzie, pobierzecie się nakoniec?

— Stanie się to także kiedyś, stanie! — zbywała Baśka natręta.

— Bo to czasby już był. Wszak gruchaliście ze sobą, gdym do dzisiejszej żony swej w zaloty chodził, a teraz będę wkrótce żenił syna...,

— Co się odwlecze, nie uciecze, a co człowiekowi sądzono, to go nie minie.

— To prawda, ale przecież jakiś termin musi sobie człowiek wyznaczyć.

— A więc nastąpi to wówczas, gdy nasi gospodarze tem się zajmą.

— O, to się jeszcze porządnie naczekacie!

— Niech tam sobie! Wszak i teraz niczego nam do szczęścia nie brakuje.

Maciek nic zwykle nie odpowiadał na takie pytanie, ale zakarbowywał sobie dobrze w pamięci tego, kto je zadawał; sto razy mógł taki człowiek mijać go potem i wołać nań, on wbijał milcząc wzrok w ziemię i nie podnosił go, aż daleko poza sobą zostawił szydercę.

IV.

Miała słuszność Baśka, gdy mówiła, że co komu przeznaczone, to go nie minie. Wszystko, o czem marzyli, o czem kiedykolwiek w południa niedzielne rozmawiali, spełniło się co do joty. I któżby był przypuszczał, że to są rzeczy możliwe? Nikt z pewnością!

Tymczasem umarła ciotka Baśki, z którą dziewczyna nie miała nigdy żadnych stosunków. Dziwna — bo to była kobieta. Miała tylko córkę jedynaczkę i z tą żyła w wielkiej niezgodzie z powodu jej zamęźcia, którego stara sobie nie życzyła. Zezwoliła wprawdzie, aby córka odjechała za mężem gdzieś aż do obcych krajów, ale odtąd już nigdy o niej się nie dowiadywała i żadnych listów nie przyjmowała. Przez lat wiele matka i córka nic o sobie nie wiedziały.

Gdy po śmierci matczynej zwrócił się urząd gminny do córki, aby przyjechała objąć dziedzictwo, pokazało się, że tak ona, jak jej mąż oddawna już nie żyli. I dzieci po nich nie zostało, a ponieważ żadnych bliższych krewnych zmarła nie miała, więc całe mienie, jak było, dostało się Baśce. Miała więc naraz chałupę, przy niej sadek, pólko, łączkę, w chlewie dwie kozy, wszelkie, jakie się należy, sprzęty stolarskie i bednarskie, a w komorze dwie pełniusieńkie skrzynie. W jednej znajdowało się ubranie po nieboszczyku wuju. Był on cieślą i nader wykwintnie się ubierał. Został po nim kożuszek, została granatowa kapota tak piękna, jak gdyby była dzisiaj dopiero wyszła z rąk krawca. Gdy Baśka otworzyła drugą skrzynię, pierwszą rzeczą, która jej wpadła w oko, była zielona suknia z żółtem, jak siarka, lamowaniem!

Pod tą zieloną leżało tyle innych, że Baśka mogłaby była każdego dnia w tygodniu inaczej się wystroić, ale nie byłaby tego uczyniła za żadne skarby świata. Zanadto bała się Boga.

Pierwsza wiadomość o spadku w takie osłupienie wprawiła Baśkę, że musiano ją szczypać w ręce, aby przyszła do siebie. I jakżeby mogło być inaczej, wszak zdarzyło się jej coś zgoła nieprawdopodobnego! Jak stanęła, tak wciąż stała nieruchomie, nie mogąc się oswoić z myślą, że

wszystko, co było ciotki, teraz ma do niej należeć, że więc do końca życia służyć już nie potrzebuje i — Maciek również.

— Miej-że rozum! — nauczał ją gospodarz — jeżeli będziesz i nadal tak głupia, jak dotąd, to cię ludzie w krótkim czasie obedrą ze wszystkiego, co zesłał ci Bóg w swej szczodrobliwości. Jakbym już widział, jak dajesz się im oszukiwać, aż w końcu sama z torbami w świat wędrujesz. Muszę wdać się w tę sprawę, abyś nie narzekała kiedyś, żem nie miał za ciebie rozumu. Najlepiej będzie, jezeli pójdziesz za mąż i to natychmiast. Ja ci też powiem nie zwlekając, o pewnym kawalerze, który tak potrafi gospodarować w twojej chałupie, że sama nie będziesz potrzebowała o nic się turbować.

I wymienił jej własnego swego brata, który przed rokiem był owdowiał i o którym mówiono, że zadręczył nieboszczkę żonę. Był to szeroko i daleko znany handlarz starego żelaza; skoro ktoś spojrzał tylko na niego przypadkiem, nic złego na myśli nie mając, już bójkę z nim wszczynał. Cóż dziwnego, że omijali go ludzie na sto kroków. Dzieci w niego się wdały i były równie złośliwe, jak ojciec. Gospodarz obawiał się, aby brat kogo nie zabił i aby go nie posadzono za to do kryminału, bo wówczas owe źle wychowane dzieci spadłyby jemu na kark. Wolał stokroć Baśkę niem uszczęśliwić.

I znowu trzeba było cucić Baśkę, tak się przeraziła mowy gospodarza.

— Jakiem prawem narzucacie mi swego brata wiedząc, że mam Maćka! — zawołała z urazą, drżąc na całem ciele.

— A toć chyba nie zawiążesz sobie losu teraz, gdy masz chałupę, wychodząc za głodomora-niedołęgę, który nic nie ma i nic nigdy mieć nie będzie? Dobry on był dopóty, dopóki nie chciał cię żaden inny.

Trzeba było widzieć Baśkę, jak się zaperzyła! Twarz jej stanęła w płomieniach i każda żyłka w niej zadrgała.

— Dla kogo ja wpierw nie byłam dość dobrą partją, ten dla mnie teraz nią nie jest! — wybuchnęła z uniesieniem. Maciek oddawna chce się ze mną żenić i nigdyby się z inną nie ożenił. Gdyby nawet stręczyła się mu dziewczyna z samej Pragi, nie byłby jej wziął za całe Jeruzalem, a ja miałabym pójść za innego? Ani za siedem złotych grodów, choćby mi go zalecała sama święta moja patronka. Przysięgam, że nie byłabym go porzuciła nawet na rozkaz królowej niebieskiej, a to już wiele znaczy!...

I Baśka o mało nie zemdlała, tak głęboko wzięła do serca, że ludzie rozłączyćby ją chcieli z Maćkiem. A gdy odzyskała oddech i pamięć, uderzyła w taki płacz za Maćkiem, że słychać ją było aż na placu i nie można jej było niczem utulić. A gospodarz, choć bardzo nalegał, chcąc koniecznie dla brata i szkaradnych jego dzieci znaleść u niej przytułek, nie wskórał nic a nic. Odszedł z gniewem, widząc nakoniec, że niczem nie da się zachwiać w swem postanowieniu, ale nie przemówił już do niej ani słowa przez cały czas, który jeszcze pod jego dachem spędziła.

Maciek natomiast nie dziwił się zgoła zmianie, jaka zaszła w ich losie. Alboż Baśka nie obiecywała mu tego wszystkiego? Oczekiwali na to wciąż i wciąż o tem mówili, a że oczekiwania ich nareszcie się spełniły, cóż w tem mogło być dziwnego lub nadzwyczajnego? Ależ on nawet gotów był dziwić się, że nie zdarzyło się to o wiele wcześniej. I ani razu nie przyszło mu na myśl, aby mógł być teraz nieodpowiednią dla Baśki partją. Ludzie mu wprawdzie napomykali o tem przez zazdrość, ale on im śmiechem w oczy parsknął. On miałby być niegodny Baśki! Ależ na całym świecie niema nikogo dla niej właściwszego.

Baśka zrobiła wielkie oczy, gdy jej oświadczył, że pójdzie na plebanję dać na zapowiedzi. Pojąć nie mogła, skąd się w nim naraz wzięło tyle odwagi. Gdy go spytała, czy naprawdę myśli udać się tam niezwłocznie, zrobił minę pełną godności, a potem tak kroczył przez wieś, że gdy wstąpił do pokoju proboszcza, wielebny duszpasterz nie poznał, co to za pana ma przed sobą. Od chwili, gdy usłyszał w kościele pierwszą swoją zapowiedź, nie ustępował z drogi nikomu, przeciwnie, każdy jemu musiał ustępować. Bóg jeden wie, skąd tak odrazu, w mgnieniu oka, nauczył się udawać pana. Kto nie widywał go od dłuższego czasu, a teraz z nim się spotkał, ten nie wiedział, jak ma do niego przemawiać. Był, jednem słowem, zgoła] innym człowiekiem, jak gdyby przestał być samym sobą.

V.

Baśka odziedziczyła wraz z chałupą komornicę z czworgiem dzieci. Było jej to nader miłem, a mając w pamięci owdowiałą matkę swoją nieboszczkę i własne sieroce dzieciństwo, przygarnęła odrazu z miłością ten drobiazg. Inaczej było z Maćkiem.

Popatrzył na wdowę i dzieci spojrzeniem tak groźnem, że komornica skryła się za Baśkę, a dzieci zaczęły drżeć. Poczem zwrócił się do nich z zapytaniem, czy dokładnie wiedzą, kim to on jest? Gdy niebożątka nie wiedziały, co na to odpowiedzieć, pouczał je, jako on tu jest panem wszechwładnym, którego wszyscy muszą słuchać: niech tylko rozkaże cobądź w izbie, na polu lub w chlewie, musi to być wnet na włos spełnione. I aby stwierdzić przykładem swoje słowa, posyłał każde z dzieci pięć razy z rzędu po jakiś przedmiot, znajdujący się na dworze, którego nikt nie potrzebował i który dzieci musiały napowrót odnosić.

Dzieci nie śmiały głośniej odetchnąć.

— Podobałoby się wam — ciągnął dalej Maciek — cały dzień latać, nic nie robić i nikogo

się nie bać. Ale ja na to nie pozwolę. Będę was musztrował i pilnował, aż was nauczę porządku.

Zachowanie się Maćka podobało się Baśce, bo i dlaczegożby nie miał huknąć na dzieci, gdy mu to przyjemność sprawiało? Wszak krzykiem nie wyrządzał im krzywdy, a jak mu było do twarzy, gdy udawał pana domu!

Pierwszego zaraz dnia po weselu wsypała mu garść groszaków w kieszeń, aby tam głośno pobrzękiwały. I dzieci nie śmiały do niego przystąpić, aby — jak mówił — nie zatraciły tych jego pieniędzy, a w niedzielę, gdy przywdziewał kapotę, nie śmiały nań spojrzeć, aby mu jej nie powalać.

Oh, używał teraz Maciek w ciepłej, czystej izbie, do której dziesięć razy na dzień przywoływał dzieci, aby od nich usłyszeć, kto tu jest panem i z której tyleż razy je wypędzał za rozmaite zbrodnie. Należało do nich w pierwszym rzędzie niegrzeczne kichanie lub kaszlanie, przedewszystkiem jednak odpowiadanie milczeniem na pytania, tyczące się godności i znaczenia jego osoby. Zdarzało się, że przez całe popołudnie dzieci nie robiły nic innego, tylko otwierały i zamykały drzwi. Baśka znowu nie mogła się nacieszyć szczęściem jakie ich spotkało, zwłaszcza gdy wzrok jej padał na ścianę obok pieca, gdzie wisiał zupełnie taki, na czerwono pomalowany łyżnik o ośmiu półkach na cztery cynowe łyżki każda, o jakim zawsze marzyła. Oczu od niego, bywało, całemi godzinami oderwać nie mogła.

C. d. n.

Gospodarka chińska.

Oryginalny widok przedstawia uprawna ziemia w Chinach, rażący zwłaszcza nasze oko, przywykłe do pól szerokich, lasów na widnokręgu, łąk zalewnych i tych błot bezgranicznych, karłowatą sosenką porosłych.

Łąk i lasów wcale niema, zaś patrząc na uprawne pola Chińczyków, rzekłbyś, że krzątało się tam plemię liliputów, takie to wszystko drobne, poprzecinane mikroskopijnemi kanalikami, osnute labiryntem drożynek i ścieżek. Nic nie leży odłogiem; każda piędź gruntu musi przynosić dochód. Wobec tej oszczędności — skąpstwa nawet na ziemię, jedyny wyjątek stanowią liczne, obszerne groby familijne oraz sieć poplątana ścieżek, często niepotrzebnych i raczej przedłużających, niż skracających drogę.

Wobec mrowia ludzkiego, — rojącego się tu wszędzie, na razie pojąć trudno, gdzie się ono podziewa, czem się żywi? — ale bo też Chińczycy umieją nietylko wyzyskać swoje pola, ale jeszcze stworzyć urodzajną glebę tam, gdzie jej przedtem nie było i być nie mogło; więc na stokach gór — wśród skał, na wodach rzek i jezior.

Olbrzymia ludność Chin przeważnie żyje z ziemi, to też rolnictwo ma tu cześć religijną; po większych miastach znajdują się świątynie na cześć Drakona, bóstwa deszczu, a co wiosna sam cesarz z książęty, świtą i dygnitarzami państwa przybywa rozorać własnoręcznie pierwszą bruzdę.

Większych własności ziemskich nie spotykamy w Chinach; ziemia uprawna zostaje w rękach drobnych posiadaczy, którzy umierając, zostawiają swe mienia najstarszym synom, ci zaś część zysków młodszemu rodzeństwu ustąpić winni. Za życia ojca żeniący się synowie nie opuszczają rodzicielskiego domu i tym sposobem zdarza się, iż cztery nieraz pokolenia pod jedną strzechą się mieszczą. Wogóle Chińczyk tylko w ostateczności opuszcza rodzinne miejsce — wiąże go z niem nietylko przywyknienie, lecz także religijny obowiązek strzeżenia grobów rodzinnych i składania tutaj corocznych ofiar.

Prawnego nadzoru nad uprawą ziemi w Chinach tak jak niema, w większych tylko osadach bywają zgromadzenia agronomiczne, czuwające przeważnie nad tem, żeby rolnicy okoliczni nie odstępowali od tradycyjnego sposobu gospodarowania. Wójtowie gminni zarządzają magazynami zbóż, znajdującemi się tu i ówdzie, pilnując, żeby gospodarze odwozili należną miarę zboża — zaś ziarno zebrane w ten sposób, w razie głodu staje się własnością ogólną.

Najmniejszą miarą ziemi jest w Chinach t. zw. „*mu*“ równe mniej więcej $^1/_{36}$ morga naszego. Sto „*mu*“ stanowi jedno „*cyn*“ to jest około $2^7/_9$ morga. 50 „*mu*“, a zatem mniej niż półtora morga, uważa się za glebę wystarczającą do wyżywienia przeciętnej rodziny, składającej się z pięciu członków, co tem dziwniejsza, że o pastwiskach lub wygonach mowy tam być nie może. Podatki od ziemi oznaczają się na dziesięć lat z góry z uwzględnieniem gatunku gleby oraz położenia w pobliżu miast lub wód spławnych — a zaległości zdarzają się bardzo rzadko, tylko w razie jakich nieszczęść ogólnych, jakoto: powodzi lub przelotu szarańczy. Cena ziemi wysoka jest; to też przysłowie chińskie powiada: »Łatwo kupić funt herbaty — ale jedno „*mu*“ ziemi – niełatwo. Bezziemni Chińczycy pracują u innych jako robotnicy, wreszcie pojedyńczo lub zbiorowo biorą ziemię w dzierżawę.

Gospodarskie narzędzia Chińczyków, sięgające I w. przed Chr., do dziś dnia pozostały w swej pierwotnej prostocie. Ich sochy, brony drewniane z żelaznemi zębami, motyki, łopaty, wreszcie walce kamienne gładkie lub zębate przypominają nasze najprostsze, przez lud używane narzędzia. Młynów wietrznych Chińczycy

nie stawiają, mielą w rodzaju żaren o dwóch kamieniach młyńskich, obracanych przez pociągowe zwierzęta.

Z powodu braku paszy gospodarze nie chowają prawie wcale bydła; za bogatego uważa się gospodarz pary krów lub mułów; w robotach polowych człowiek zastępuje często zwierzę pociągowe. Nieraz też zdarzy się widzieć Chińczyka, orzącego... własną żoną, wprzężoną w jedno jarzmo z mułem lub osłem.

Wśród zwierząt, chowanych w Chinach, główne miejsca zajmuje nierogacizna. Wieprzowina, przyprawiana rozmaicie, uchodzi za jedną z najsmaczniejszych potraw, jakkolwiek co do gatunku, nie da się porównać z naszą. W miastach żywienie się tem mięsem jest nawet połączone z pewnem niebezpieczeństwem, gdyż główny pokarm nierogacizny stanowią tutaj najplugawsze odpadki. Kury, gęsi i kaczki, chowane w wielkiej ilości i wylęgane niekiedy sztucznemi sposobami, znajdują się w domu każdego zamożniejszego Chińczyka.

Konie chińskie pochodzą przeważnie z Mongolji, zkąd całe ich tabuny sprowadzane bywają, jako podatki dla kawalerji chińskiej i na sprzedaż. Niepokaźne, małe te koniki, obrośnięte długą sierścią, są jednak wielkiej wytrwałości, ogniste i złośliwe. Podobno dla ułatwienia oddechu Mongoł rozcina im chrapy. Siana nie używa się tu wcale jako pokarmu dla zwierząt domowych: konie lub bydło rogate żywią się sieczką ze słomy, pomięszaną z jęczmieniem, kukurydzą, prosem i t. p.

Z powodu braku ziemi i niemożliwości chowania bydła*) ciekawe są sposoby, do jakich uciekają się Chińczycy w celu otrzymania dostatecznej ilości nawozu dla umierzwiania pól swoich**). Po drogach publicznych i prywatnych, dokoła wiosek i w mieście krążą bądź członkowie rodziny gospodarza, bądź specjalnie się tem trudniący ludzie z koszem przez ramię i długim czerpakiem w ręku: zbierają oni wszystko, co pod rękę wpadnie: pomiot jedwabników, bydła i ptactwa, popiół, kawałki drzewa, opiłki, łupiny owoców, liście, korzenie, włosy pozostałe po ostrzyżeniu lub ogoleniu, kości, zgniłe ryby i t. p. Jedni zadawalają się tem, co znajdą na drogach, biegną nieraz i wiorstę za koniem lub mułem, wyczekując na słuszną trudów swoich zapłatę, inni wstępują do wsi i domów miejskich i tam, za skromne wynagrodzenie napełniają owe kosze. Zbiory te następnie suszą się na słońcu, proszkują i gdy nadejdzie czas potemu, rozrzucają po polu.

Oprócz tego, zwłaszcza w Chinach środkowych, przygotowują komposty. Przy każdem domostwie Chińczyka znajduje się jama, wyłożona cegłami lub wysmarowana gliną, gdzie zlewają pomyje i zrzucają wszelkie gospodarskie odpadki, mięszając je widłami, niekiedy polewając wodą i przesypując wapnem dla rychlejszego rozkładu.

Orzą nie głęboko, następnie bronują i walcują spulchnioną ziemię. Wszelakie zboża sieją się rzędami, tak że właściciel wciąż czuwa nad wzrostem rośliny, spulchniając zbyt zsiadłą ziemię i wyrywając chwasty. Ryż sieją najpierw gęsto na małym obszarze pola, rozsadzając go dopiero później w błotnistą od obfitego polania rolę. Sto dni upływa zanim roslina dosięgnie zupełnej dojrzałości, poczem wiążą ją w snopki i młócą, uderzając o ściany dużej kadzi.

Chińczycy, tak zapobiegliwi o umierzwienie ziemi i w dalszym ciągu starają się również o skuteczne polewanie kiełkujących zbóż swoich. Susza ich nie przeraża, nie wyglądają bowiem, śledząc bieg chmur, zmiłowania Bożego, tylko są z góry na wszystko przygotowani i umieją sobie poradzić. Drobne kwadraciki uprawnej ziemi otoczone są w koło rowkami; w pobliżu, gdy niema rzeki lub strumienia, znajduje się studnia i pompa, skąd rowki zapełniają się wodą, która w razie potrzeby, zalewa pola.

Kopanie studzien jest ważną sprawą u Chińczyków; przed zaczęciem roboty wzywanym bywa wróżbita lub czarownik, który oznacza miejsce dogodne. Toż samo powtarza się przy budowli domów, zakładaniu ogrodów itp., nietylko bowiem lud prosty, ale i klasa uczonych Chińczyków, przeważnie łatwowierna i zabobonna, daje się wyzyskiwać wszelkiego rodzaju wieszczbiarzom.

Przemyślność natomiast i niezmordowana pracowitość Chińczyka tam się zwłaszcza ujawnia, gdzie już nie chodzi o wyzysk, tylko wprost o stworzenie chlebodajnego gruntu. Chińczycy skopują stoki gór, odgradzając każdy taras kamieniami i sprowadzając tam wodę z pobliskich strumieni za pomocą lekkich bambusowych korytek. Jeżeli gleba z natury jest skalista, to z dolin nanoszą potrzebną ilość ziemi żyznej. Tak zasiane pole czyni wrażenie olbrzymiej ściany z zieleni. Ruchome piaski ustalają Chińczycy za pomocą obfitego nawadniania i zasiewania trawami o bardzo rozgałęzionych kilkoletnich korzeniach; prawdziwemi zaś artystami są w urządzeniu ogrodów. Symeterycznie skopane grządki, przedzielone rowkami, zasiewają oni głównie cebulą, czosnkiem, kapustą i słodkawemi kartoflami, przyczem dla zwiększenia urodzajności ziem ogrodowych Chińczycy polewają grunt obficie nawozem płynnym, to też woń ich ogrodów unosi się na kilka „*cyn*“ wokoło. Owoce w Chinach, wogóle dość wodniste i mdłego smaku, gorsze od naszych; niektórym, jak np. ogórkom, nadaje się umyślnie forma podłużna, przez przywieszanie ciężarków u końca owocu podczas wzrastania.

*) Gospodarstwo mleczne całkiem nieznane w Chinach, używanie mleczywa wstrętnem jest dla Chińczyka.

**) Nawóz z pod inwentarza służy tutaj na opał i w rzadkich tylko razach używają go do umierzwienia roli.

Jagód w Chinach wcale niema, a z pomiędzy owoców najprzyjemniejszy smak mają gruszki, morele, brzoskwinie, śliwki i winogrona, niegdyś przywiezione tutaj podobno przez Jezuitów i używane tylko do jedzenia; win Chińczycy nie wyrabiają, pijąc tylko wódki zbożowe, dosyć źle oczyszczone. Na południu rosną dzikie owoce podzwrotnikowe, jako to: banany, ananasy, daktyle i inne.

Dokoła dużych rzek i jezior, gdzie ziemia droga i przeludnienie większe, Chińczycy urządzają tak zwane »ogrody pływające«. Są to właściwie tratwy z łozy, z brzegami, podniesionemi ku górze, na które narzuca się iłu z dna wody, a następnie zasiewa ziarnem lub obsadza ogrodowizną. Obok takiej pływającej roli mieszka w łodzi właściciel jej z rodziną, sprzętem domowym, ptactwem oraz parą świń lub baranów, jeżeli jest miejsce.

Obok zbóż, znanych w Europie, Chiny środkowe obfitują w indygo, trzcinę cukrową, drzewo woskowe i t. d. Gdzieniegdzie uprawiają mak dla opium, oraz drzewo morwowe, służące za pokarm jedwabnikom, najznaczniejszym jednak płodem Chin jest po całym świecie rozwożona herbata chińska.

Drzewo herbatnie należy do rodziny kameljowych i rośnie pomiędzy 23—35% szerokości. Nasienie drzewa herbatniego w przeciągu 3-ch lat wyrasta na 3—5 stóp i dopiero przesadzane bywa w plantacje. Drzewo to ma liście błyszczące, twarde, do wiśniowych podobne, lecz znacznie grubsze. Liście zbierają dwa do czterech razy w ciągu lata, przyczem zbiór pierwszy delikatnych wiosennych listków (w lutym) daje najprzedniejszy gatunek herbaty.

Plantacje herbaty należą także przeważnie do drobnych właścicieli ziemskich, którzy następnie odprzedają swe zbiory kupcom specjalistom. Ci większą ilość herbacianego liścia przewożą do t. zw. fabryk, gdzie tenże podlega różnym manipulacjom. Najpierw odbywa się prasowanie, t. j. ugniatanie herbaty bosemi nogami nagich i często niechlujnych robotników.

Rozgniecione i poczerniałe liście spoczywają w noszach dla fermentacji przez dni kilka poczem raz jeszcze ugniatają je nogami, a dopiero zapomocą przesiania przez różne sita, rozgatunkowują na lepsze i gorsze. Najdrobniejsze t. j. najmłodsze liście, stanowią najlepszą herbatę. Ostatecznie, przed samem upakowaniem w ołowiane pudła, przypiekają liście herbatnie nad żarem, przyczem wielkiej uwagi i doświadczenia trzeba, gdyż nadto ogrzane tracą całą swą wartość.

Jednym z główniejszych portów wywozowych herbaty jest Hang-thu, przy ujściu Jang-tse-Kiang'u; w ciągu kilkotygodniowego herbatniego sezonu życie wre tam gorączkowe; europejska część miasta zaludnia się cudzoziemcami, po ulicach snują się komisjonerzy z próbkami herbaty, kapitanowie okrętów targują się z przedstawicielami firm o cenę transportów i nawołują do pośpiechu rój krążących dokoła nagich „*kuli*" chińskich, dźwigających paki herbaty. Na rzece również tłok: okręty ze wszystkich stron świata, jak olbrzymy wodne, stoją wśród uwijających się łodzi chińskich, czekając hasła odjazdu. Oprócz Hang-tchu przywożą herbatę z wielu innych portów, oraz drogą lądową przez Kiachtę, Irkuck itd., kędy tysiące jucznych wielbłądów rok rocznie przebywa pustynię.

Spacerowe ogrody w Chinach znajdują się najczęściej nie w pobliżu domów, tylko gdzieś po za miastem i są jednym więcej dowodem oryginalności Chińczyków. Długie cieniste aleje, szpalery z harmonijnym doborem różnych tonów zieleni, trawniki i klomby, wszystko to uważane jest za grube barbarzyństwo i stanowczo jest usunięte z parków. Ogródek chiński cały jest w gzygzakowatych drożynach, wysadzanych karłowatemi drzewami, piwoniami, chryzantemami i gardeniami w wazonach, oraz poprzecinanych tu i ówdzie sztucznie urządzonemi mostkami. Na zakrętach wznoszą się małe pagody lub świecą tabliczki z sentencjami jako to: »Uszanujcie genjusza tych miejsc«, albo: »Wino rozwesela serce, nauka oświeca umysł« itd. W takim ogrodzie, odpowiadającym jego zwyczajom i gustom, Chińczyk wśród rodziny albo przyjaciół wyprawia coś w rodzaju majówek lub pikników, zasiada, aby zjeść obiad, pogawędzić, wypić kilkadziesiąt filiżanek mdłej herbaty i wypalić niezliczoną ilość fajek wonnego tytoniu. To jego najmilszy po gospodarskiej pracy odpoczynek. *O.*

PRO MEMORIA.

26—29. listopada 1812. Nieszczęsna wojsk napoleońskich przeprawa przez Berozynę, w której się odznaczyły męstwem i przytomnością umysłu oddziały polskie pod wodzą Dąbrowskiego.

26 listopada 1855. Zmarł w Konstantynopolu Adam Mickiewicz (urodz. w 1798.)

27. listopada 1806. Weszli do Warszawy Francuzi, witani entuzjastycznemi okrzykami warszawskiego ludu, który się bratał z nimi w serdecznej przyjaźni.

29.. listopada 1830. Noc Belwederska.

29. listopada 1860. Jedna z pierwszych manifestacji w Warszawie z powodu 30 letniej rocznicy powstania.

30. listopada 1808. Bitwa pod Somo Sierra w Hiszpanji Jazda polska pod dowództwem Kozietulskiego okrywa się chwałą z powodu niezrównanego ataku.

30. listopada 1890. Zmarł w Lublinie, mając lat 90, ks. Piotr Ściegienny, twórca spisku chłopskiego, wieloletni wygnaniec syberyjski.

Z drukarni Z. Gołoba we Lwowie.